

## WIELKI ŚWIAT MAŁEGO CZŁOWIEKA

Nikt specjalnie nie zastanawia się nad tym co tak naprawdę czuje dziecko - bardzo młody, ale przecież już myślący człowiek, który dopiero poznaje ten olbrzymi otaczający go świat. A jest to przecież bardzo ważny, może nawet najważniejszy okres w życiu każdego człowieka. To wtedy, w zależności od tego, jak wygląda najbliższe otoczenie dziecka i od tego, jak to otoczenie przyjmuje zjawiającą się wśród nich nową istotę, zaczyna budować się jego charakter. My, stare byki, możemy uważać, że świat dziecka jest bardzo mały, że to mikroskopijny wycinek otaczającego nas wszechświata. Trzeba jednak pamiętać o tym, że poznawanie tego wszechświata jest niekończącym się procesem trwającym przez całe życie człowieka. Do tego trzeba też wciąż pamiętać o skali. Zupełnie inne są proporcje otoczenia w świecie mrówki, a zupełnie inne w świecie słonia.

Dla małego dziecka każdy nowy dzień przynosi nowe doznania i kolejne odkrycia. Szczególnie wtedy, gdy opanuje ono już sztukę poruszania się; najpierw przesuując się na brzuchu lub pupie, potem na czterech kończynach aby w końcu zrobić pierwsze, niepewne kroki na własnych nogach.

Bardzo ważne są wtedy pierwsze wrażenia: dotykowe, wzrokowe i słuchowe. Mały człowiek potrafi już w niemowlęctwie odróżniać osoby ciepłe i miłe od osób nazbyt szorstkich i zimnych, głośne i hałaśliwe od spokojnych i stonowanych. Już wówczas wygląd i atmosfera panująca w domu rodzinnym, oraz w najbliższym otoczeniu dziecka znacząco wpływa na to, czy w przyszłości będzie ono człowiekiem wesołym i ciekawym otaczającego go świata, czy też smutnym, płaczącym i wystraszonego stworzeniem, niechętnie opuszczającym bezpieczny kąt.

Kiedy dziecko opanuje już trudną sztukę chodzenia i biegania przychodzi czas na wyjście poza cztery ściany poznanego już dokładnie domu rodzinnego. Bardzo nieskromnie pochwalę się, że w wieku trzech, czterech czy pięciu lat, trudno było mi usiedzieć w jednym miejscu i już wtedy marzyły mi się dalekie wyprawy. Dalekie, to znaczy aż poza widnokrąg jaki widoczny był z naszego podwórka. Byłem ciekawskim dzieckiem i zadawałem rodzicom mnóstwo pytań. Jak każde dziecko w takim wieku po prostu chłonałem podstawową wiedzę na temat otaczającej mnie rzeczywistości. Rodzice świetnie bawili się moim kosztem, i często opowiadali mi niezłe bzdury. Na przykład, na pytanie skąd wzięłem się na tym pięknym świecie, odpowiadali mi, że znaleźli mnie w kapuście, w ogrodzie rozciągającym się tuż za domem.

Był koniec lat pięćdziesiątych. Mieszkaliśmy na skraju miasta, przy naszej małej ulicy stało tylko dziewięć domów, ustawionych wyłącznie po jednej stronie tej arterii. Mieszkaliśmy prawie na końcu ulicy, pod numerem ósmym. Dalej były już tylko łąki i pola, przez które przebiegała polna droga do sąsiedniej miejscowości.

Numerem ósmym oznaczony był niewielki, jednopiętrowy, murowany domek, oszalowany z zewnątrz deskami, nie posiadający piwnic, ale mający za to przylegające do niego bardzo ciekawe komórki i duży ogród rozciągający się za domem. Od ulicy dom odsunięty był na kilka metrów. Szerokiego podwórka strzegło ogrodzenie z drewnianych sztachet z podobną drewnianą furtką. Dom ustawiony był frontem w stronę podwórka. Wejście do domu umieszczone było centralnie w tej elewacji frontowej. Niewielką przestrzeń pomiędzy domem a ulicą zajmował mały ogródek, w którym rosły dalie i floksy. Mama sadiła tam też swoje ulubione gladiole, czyli mieczyki. Po kilku zewnętrznych schodkach z poziomu podwórka wchodziło się na poziom posadzki parteru, wprost do korytarza. Byłoby pięknie gdyby ten domek był nasz lub gdybyśmy tam przynajmniej mieszkali sami. Nic z tego, dom był własnością prywatną - właścicielka, starsza pani, wynajmowała parter dwóm rodzinom a sama mieszkała na piętrze z głupią Ewką, z której nie wolno nam było się śmiać. W korytarzu, na parterze było dwoje drzwi, po lewej i po prawej stronie, oraz strome drewniane schody prowadzące na piętro, do mieszkania właścicielki.

Nasze mieszkanie, mieszczące się na parterze, po prawej stronie, składało się z kuchni i jednego dość dużego pokoju. Z korytarza wchodziło się bezpośrednio do kuchni, w której był zlew z zimną wodą i kaflowy trzon kuchenny, w którym paliło się węglem, a na czarnych blachach przykrywających

palenisko zawsze stały jakieś garnki. Było nam tam dobrze i ciepło, tym bardziej, że najpierw, po kolejnym roku, przybył mi braciszek a po następnych trzech latach siostrzyczka. Było nam bardzo wesoło. Rodzicom chyba trochę mniej, bo było coraz ciśnień.

Łazienki nie było, myliśmy się w kuchni, w dużej emaliowanej miednicy. W sobotę była obowiązkowa kąpiel, do kuchni wjeżdżała wtedy wielka blaszana wanna a rodzice grzali wodę w garnkach i w wielkim, także blaszanym kotle do prania. Latem było jeszcze przyjemniej - wanna lądowała na ogrodzie i wolno nam było tam chlapać się do woli.

Ubikacja, nazywana ustępem lub wychodkiem, była w komórce oddalonej nieco od domu. Był to zwykły suchy ustęp z drewnianym siedziskiem, w którym wycięty był okrągły otwór. W górnej części drzwi, pośrodku, wycięte było serduszko, a w boczną ściankę wbity był solidny gwóźdź, na którym wisiały równo pocięte gazety. Od czasu do czasu wybierano nieczystości specjalnym czerpakiem umieszczonym na długim drągu i wywożono je beczkowitzem na okoliczne pola.

Fascynowały mnie wszystkie komórki stojące szeregiem na podwórku, kilka metrów od domu. W tych komórkach mieścił się nie tylko skład opału i narzędzi ogrodniczych, lecz była tam także stajenka, w której mieszkaly dwie białe kozy ze śmiesznyimi bródkami. Był też chlewik, w którym żyła, najczęściej leżała, bardzo duża i straszna świnia, oraz klatki z królikami. Kiedy się je karmiło trawą lub mleczem bardzo zabawnie poruszały nosami. W kącie podwórza rósł wielki, stary krzew bzu. Właściwie było to już drzewo, na które uwielbiałem się wspinać.

Czasami odwiedzał nas dziadek, ojciec mamy. Pamiętam, że przy użyciu zwykłych pilników i papieru ściernego potrafił z mosiężnych śrub zrobić naprawdę piękne pierścionki. Chodził ze mną na pola, pokazywał zające, które wtedy można było tam jeszcze często spotkać, i opowiadał mi różne niesamowite historie. Często żartował. Podał mi niezawodny sposób na złapanie zająca - według niego było to bardzo proste: wystarczyło nasypać zającowi trochę soli na ogon i wtedy już nie uciekał.

Kiedy do sąsiedniego mieszkania na parterze wprowadzili się nowi lokatorzy było to dla mnie dużym wydarzeniem, bo sąsiad miał motocykl WSK – obiekt wielkiego zainteresowania wszystkich chłopców z ulicy. Ciągłe przy nim grzebał, coś tam naprawiał i wtedy pięknie pachniało benzyną i spalinami. Do przedszkola nie chodziłem – wychowywali mnie rodzice, koledzy i sąsiedzi. Ciekawe to były czasy. W domku pod numerem 5 lub 6, gdzie często przebywałem, mieszkała jeszcze Niemka z dziećmi. Rodzice też czasem do niej zaglądali. Nie wiem jak się z nią porozumiewali – rodzice znali doskonale francuski, tam się przecież wychowali, ale nie umieli mówić po niemiecku. Jakoś się jednak dogadywali. Ja też często tam bywałem i bawiłem się z tymi dziećmi. Mówiłem swoje, oni swoje i też jakoś się dogadywaliśmy.

Przypuszczam, że rodzice, podobnie jak ci Niemcy, czuli się trochę obco w nowym środowisku społecznym. Mama urodziła się we Francji, mówiła po polsku tak, jak nauczyli ją rodzice, pochodzący co prawda z poznańskiego, ale przez szereg przedwojennych lat mieszkający najpierw w Westfalii a potem w północnej Francji. Kiedy tuż po wojnie mama ze swym ojcem trafiła do Zabrze, Ślązakom nie przeszkadzała jej gwara, sami też „godali po swojemu”. Ale w Wałbrzychu było już trochę inaczej i mama wstydziła się czasami, że brakuje jej polskich słów. Kiedy rodzice chcieli podzielić się ze sobą swymi sekretami lub nie chcieli aby słuchały ich dzieci, przechodzili na francuski.

Rodzice ojca pochodzili z krakowskiego, z Sułkowic, ale ojciec mówił czystą polszczyzną, bez naleciałości gwary krakowsko-góralskiej. A to dlatego, że bardzo dużo czytał. Mimo ciężkiej pracy fizycznej; pracował wtedy w hucie, na oddziale odlewni; w wolnych chwilach pochłaniał książki. Często kpił sobie z babci, ze strony mamy, która do prowadzonych rozmów bardzo często wtrącała słowa niemieckie lub zabawnie przekręcała słowa polskie. Słynnym był jej „rózawowy keselek”, czyli po prostu różowy czajnik. Ojciec często czytał nam pięknie ilustrowane bajki, które w tamtych czasach można było kupić w każdym z licznych kiosków „Ruchu”. Były to tanie, kilkustronicowe, ilustrowane książeczki z serii „Poczytaj mi mamó”. Wierszyki takie jak „Stefek Burczymucha” Konopnickiej czy „Lokomotywa” Tuwima tak bardzo mi się podobały, że znałem je na pamięć.

To rodzice a nie szkoła nauczyli mnie czytać – dlatego w wieku sześciu lat wystali mnie do szkoły. To było wielkie przeżycie dla takiego dzikusa jakim wtedy byłem. Ale to było później. Wcześniej cały mój świat zamykał się w znacznie mniejszych, ściśle określonych granicach terenowych.

Z jednej strony ograniczała go ważna ulica Wrocławska, którą jeździły strasznie hałasujące tramwaje i gdzie przy skrzyżowaniu z naszą, błotnistą uliczką Ogrodową mieściły się różne ciekawe obiekty. Był tam sklep spożywczy, do którego biegałem po zakupy dla mamy, był też budynek, w którym mieściły się biura „Samopomocy Chłopskiej”, w których pracował dziadek. Tuż obok był skup złomu a za nim plac targowy, gdzie furmankami zjeżdżali rolnicy ze swymi towarami; nie tylko warzywami i owocami, ale też z drobiem, bydłem i nierogacizną. Po drugiej stronie ulicy Wrocławskiej istniał jeszcze stary młyn, prawdziwy młyn z kołem młyńskim napędzanym wodą z Pełcznicy. Nie sama rzeka napędzała to koło, tylko jej odnoga, młynówka, celowo tamtędy przeprowadzona obok właściwego nurtu. Do młyna zjeżdżali chłopi ze Szczawna, Szczawienka i Lubiechowa. Dla dzieci z Ogrodowej, a była nas mała gromadka, szczególnie gdy po wyjeździe Niemców na ich miejsce przybyła rodzina ze wschodu, zza Buga, z kilkorgiem dzieci, wielką atrakcją były przejażdżki furmankami jadącymi z wiejskiej części Szczawna do młyna i z powrotem. Czasami chłopi pozwalali nam nawet powozić. Zdarzyło się kiedyś, że któryś z nich pozwolił mi na to, sam ułożył się wygodnie do drzemki na workach mąki i przysnął. Byłem bardzo dumny mogąc samemu powozić takim dużym wozem. Koń był spokojny i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zachciało mi się go nieco popędzić. Dobra droga już się skończyła, wyjechaliśmy w pola, za ostatni dom z numerem dziewięć i było coraz więcej wybojów. Koń postraszony batem trochę za mocno przyśpieszył, koła z jednej strony wyskoczyły z kolein i wóz znalazł się w rowie, a gospodarz wyleciał spomiędzy worków na łąkę. Nie czekałem co powie na moje przeprosiny, ponieważ pierwsze co zrobił to złapał za bat. Ale nie miał szans aby mnie dogonić. Dzisiaj w miejscu gdzie stał ten stary młyn mieści się samochodowy salon Citroena.

W tamtym czasie zetknąłem się też po raz pierwszy z językiem mniej literackim, rozpowszechnianym przez małych Romańczuków, lecz ojciec skutecznie oduczył mnie raz na zawsze przeklinania. Pewnego razu spróbowałem takiej mowy; gdy ojciec to usłyszał powiedział tylko: „nigdy więcej tak nie mów”. Kiedy kolejny raz usłyszał mnie przeklinającego na podwórku, wyjaśnił mi sprawę bardziej dokładnie i bez używania dosadnych słów – trochę bolało, ale tę lekcję zapamiętałem na całe życie. Ojciec był z przekonania socjalistą, szanował ludzi mądrych i pracowitych, nienawidził pijaków, chamów i obiboków. Choć urodził się w Polsce, młodość spędził we Francji, gdzie emigrowała jego rodzina uciekając przed wiejską biedą. Żyjąc w rodzinie robotniczej, w polskiej kolonii w Pas de Calais, poznał smak biedy i niesprawiedliwości społecznej. Wcześniej stracił ojca, którego zamęczyła astma – pamiątka po służbie w wojsku Franza Józefa. To dziadek wszczepił mu poszanowanie do pracy i niechęć do obiboków. Pijaków, cwaniaków i leni, którzy umieli tylko pyskować i kłąć bez potrzeby po prostu nienawidził, i przekazał to synowi. Dla niego nie było gorszego rodzaju ludzi niż taki lumpenproletariat. Mimo, iż ojciec był dobrym uczniem (francuską szkołę podstawową ukończył na 3 miejscu), już w wieku 14 lat musiał pójść do pracy. Po wojnie, po śmierci matki i usamodzielnieniu się siostr, ojciec dał namówić się agitującemu na zebraniach Polonii Jerzemu Putramentowi do powrotu do Polski, na Ziemię Odzyskane.

Domy na ulicy Ogrodowej, jak już wspominałem, stały po jednej stronie ulicy. Po drugiej stronie były pola i łąki, ciągnące się aż do zabudowań sąsiedniego Szczawienka. Kiedyś zawzięcie grając w piłkę nożną bezmyślnie stratowaliśmy nieco koniczynę rosnącą na polu po drugiej stronie ulicy. Nieużyty rolnik nie okazał zrozumienia dla naszego zamiłowania do sportu. Skończyło się niską, ale bardzo dotkliwą karą pieniężną, którą wymierzyło ojcu kolegium. Tam, w tych polach wypróbowywaliśmy też pukawki-karbidówki. Puszki po farbie albo paście do podłóg (drewniane podłogi szorowało się ryżową szczotką i pastowało specjalną pastą do podłóg) napełniało się karbidem, dolewało trochę wody, zatykało pokrywką i szybko uciekało na bok. Puszki pięknie strzelały, pokrywki leciały nawet na odległość kilku metrów.

Granicą mego dziecięcego państwa był też głęboki wąwóz kolejowy, którym przejeżdżały pociągi z dworca w Szczawienku do Szczawna-Zdroju i dalej przez Biały Kamień aż do Kuźnic Świdnickich i do Boguszowa. Pomiedzy domem a tym wąwozem rozciągały się ogródki i pola. Czasami wyrwaliśmy tam z pola marchewkę lub brukiew. Wystarczyło trochę oczyścić je z ziemi i już można było zjeść te pyszności. Marchewek się nie obierało a skórkę brukwi ściągało się zębami, chyba że ktoś miał taki skarb jak scyzoryk. Scyzoryk był cennym narzędziem, nam służył głównie do gry w „pikuty”. Wyrównywało się maleńki placyk ziemi a potem rzucało się nożykiem tak, aby po pełnym obrocie wbił się w ziemię. Była też wyższa klasa tych zawodów. Opierało się nożyk ostrzem na kciuku i z takiej pozycji, po pełnym obrocie powinien wbijać się w ziemię. Kciuk to był początek, potem był tokieć a nawet czółko.

Na skraju wąwozu rosły dzikie jabłonie i czereśnie. Jabłka były cierpkie i kwaśne a czereśnie składały się właściwie tylko z pestki i skórki, ale smakowały nam niesłychanie. W dole wąwozu, po obu stronach torów płynęły strumyczki, w których żyły przepiękne, kolorowe traszki, z grzebieniami na grzbiecie i bez grzebieni. Łapaliśmy je i próbowaliśmy hodować w słojach po ogórkach, ale bez większego powodzenia.

Wielkim wydarzeniem była budowa dużej stacji magazynowej Centrali Przemysłu Naftowego, która powstawała w tym czasie w polach na przedłużeniu ulicy Ogrodowej. Ta stacja zamykała kolejną stronę krainy mojego dzieciństwa. Na naszej uliczce pojawiły się wtedy potężne wywrotki i wielkie samochody ciężarowe, a w ślad za nimi wielkie dziury w drodze, wielkie kałuże i równie wielkie błoto. Potem zaczęły jeździć samochody-cysterny z paliwem. Nie jeździły szybko, tym niemniej sporą atrakcją i dużą próbą odwagi było wskoczenie na drabinki, jakie te cysterny miały zamontowane z tyłu pojazdu. Zeskoczyć trzeba było przed bramą stacji, bo tam była portiernia i strażnicy. Znacznie większym szaleństwem było wskakiwanie na wagony-cysterny, które wówczas ciągnęły kolejowym wąwozem do bazy CPN. Wagony te miały z tyłu drewniane budki, ze schodkami; po wskoczeniu na schodki można było ukryć się w budce, pokręcić sobie taką dużą kierownicą i dojechać aż do stacji CPN. Mama by pewnie osiwiła, gdyby wiedziała co tam wyczynialiśmy.

Trzema sztywnymi granicami, poza które dzieciaki się raczej nie wypuszczały, były: ulica Wrocławska, wąwóz kolejowy i stacja magazynowa CPN. Tylko od strony pół świat był szerzej otwarty – tam ciągnęły się łąki i pola sięgające aż do rzeki Pełcznicy i do Szczawienka. Po tych polach buszowaliśmy całymi dniami. Z pół widoczne były w oddali wieże dwóch kościołów: katolickiego i ewangelickiego (dzisiaj jest już tylko jeden) oraz wieże zamku w Książu, czyli, jak się wtedy mówiło, w Książnie. W tych polach było sporo atrakcji. Jedną z nich był dość duży staw, istniejący mniej więcej tam, gdzie teraz znajduje się hipermarket Auchan.

Po tym dzikim stawie można było pływać tratwą, zbitą z jakichś najdziwniejszych drewnianych odpadów. Odpychało się ją drągiem wyłamanym z drzew nad stawem. Zimą oczywiście jeździło się na sankach. Zjeżdżało się z dość ostrej góry za domem pana Ziemiaka (z którym ojciec pracował w hucie), opadającej w stronę Pełcznicy, już kawałek za młynem wodnym, o którym wcześniej opowiadałem. Po drugiej stronie rzeki wznosiła się murowana ściana Dolnośląskich Zakładów Naprawczych Przemysłu Węglowego. Nikt jednak nie używał tak długiej nazwy. Na pytanie: „Gdzie pracujesz?” zwykle padała odpowiedź: „W Dolnośląskich”. Kiedy podczas ostrych zim Pełcznica pokrywała się lodem można było z góry zjechać sankami aż pod tę ścianę – trzeba było tylko uważać aby tuż przed nią zakręcić albo się zatrzymać. Kiedyś mi się ta sztuka nie udała i w ten sposób pozbyliśmy się wspianiałych, trzysobowych, drewnianych sań, jakie pozostały jeszcze po Niemcach. Dobrze, że mi się nic poważniejszego nie stało.

Przez te pola i łąki, wzdłuż Pełcznicy biegła wąska droga, a właściwie polna ścieżka prowadząca do Szczawienka. Dużo później dowiedziałem się, że Niemcy nazywali tę dróżkę ścieżką Hauptmanna, pisarza i dramaturga, noblisty ze Szczawna Zdroju. Często tamtędy chodziliśmy, bo na Szczawienku mieszkała siostra mamy z rodziną. Przy tej ścieżce rosły smaczne dzikie czereśnie (dziadek Antoni opowiadał mi jak się je szczepi) oraz pięknie kwitnące czeremchy, drzewa do których wciąż mam sentyment.

Pewnego świątecznego, wiosennego poranka rodzice wybierali się z nami w odwiedzinach do ciotki i babci, które mieszkały właśnie na Szczawienku. Wystroili mnie i braciszka prześlicznie i kazali czekać. Na świecie też było ślicznie, była wiosna i kwitły łąki, przebiegliśmy więc przez ulicę na łąkę żeby zbierać na drogę trochę młodych liści szczawiu. Młode listki szczawiu wrzuca się do kubka i zasypuje cukrem – pychota. Z takich wyszukanych potraw uwielbiałem też dobrze posolony chleb ze smalcem. Między łąkami była miedza, ścieżka i rów melioracyjny, którym spływała sobie woda z wiosennych roztopów. W jednym miejscu było coś ciekawego – był to przepust z dużych kręgów betonowych przechodzący pod ścieżką. Postanowiliśmy sprawdzić, czy tą betonową rurą da się bez przeszkód przejść na drugą stronę. Dało się, ale do cioci już nie poszliśmy, i to nie tylko dlatego, że nie bardzo było w co nas przebrać, ale również dlatego, że ojciec nieco się zdenerwował i potem trochę bolały nas miejsca na ciele położone nieco poniżej pleców.

Takie były moje pierwsze etapy poznawania świata. Myślę, że tamte doświadczenia w bardzo dużym stopniu wpłynęły na moje późniejsze losy. Mogę powiedzieć, że z jednej strony byłem odważnym dzieckiem, nie bałem się wyzwań, z naturą obcowałem na co dzień, znałem ją i podziwiałem. Z drugiej strony jednak nie miałem zbyt dużych kontaktów społecznych. Do przedszkola nie chodziłem, znałem tylko kilkoro dzieci z naszej niewielkiej ulicy, nie umiałem żyć w grupie, nie potrafiłem się do niej dostosować. Tłum mnie przerażał i bardzo blokował. To mi po części zostało. Każde publiczne wystąpienie budziło we mnie przerażenie. Strach mnie paraliżował. Teraz także wszelkie wystąpienia publiczne są dla mnie stresującym przeżyciem. Pierwszym wielkim szokiem była dla mnie szkoła podstawowa. Ale to już inna historia i wymagałaby kolejnej, jeszcze dłuższej opowieści.

Takie było moje dzieciństwo. Każdy z nas ma własne, niepowtarzalne wspomnienia ze swych najmłodszych lat. Myślę, że wszyscy zgodzimy się z twierdzeniem, że te najwcześniejsze lata życia w każdym z nas pozostawiły niezatarte ślady. Te wspomnienia mogą być różne, tamte czasy mogły być bardziej lub mniej szczęśliwymi, ale na pewno były one bardzo ważne i miały znaczący wpływ na to, jakimi ludźmi staliśmy się później, w wieku dojrzałym.